

Aleksander Sendlikowski

Zaszczone życie

Jest to bardzo ciekawa książka *). Reportaż. Właściwie kilkadziesiąt reportaży, zgrupowanych koło zasadniczego pionu. Powieść? Tak. A główną postacią, jej bohaterem nie jest pojawiający się najczęściej Ananiasz, ale szary człowiek, jeden spośród mas — człowiek z dołu. Gromada. Konstrukcja powieści przejrzysta i interesująca. Reportaże zgrupowane są według pewnego planu. Przechodzimy kolejno od lat dziecięcych poprzez całą gamę przesunąć ku górnej granicy człowieka. Na każdym szczeblu tej drabiny mamy szereg płaszczyzn, obrazów, kapitalnie często zarysowanych.

Książka technicznie realizmem. Ten realizm jest aż brutalny, aż czasem bijący, jak pięścią między oczy. Jest to jednak najwłaściwsze ujęcie, korygujące formę z treści. Lukrecja, wypiekanie życia, idealizowanie, wyszlachetnianie musiałyby tu budzić zrozumiałe obrzydzenie i niesmak. Momenty artystyczne i środki artystyczne są najzupełniej właściwe i odpowiadające celowi. Budowa, konstrukcja akcji, sądy i opinie, styl, słowo — wszystko to odznacza się jednością, pełnością, uderzającą prostotą. Technika szkiców ma tu swoje logiczne, właściwe uzasadnienie.

Oceńca tej książki może wypaść różnie. Zdanie bowiem o niej nie będzie się kształtowało według jej realnej wartości artystycznej, jej zasięgu i bogactwa motywów, jej harmonii wewnętrznej — ale raczej wedle pewnego sprawdzianu ideowego. Każda karta książki p. Wasilewskiej drga bólem, drga życiem. Jest w tym coś groźnego a zarazem pociągającego. „Oblicze dnia” to książka z wyraźną tendencją społeczną, niekrywaną, niemiaskowaną. Trzeba się orientować według specjalnie czułych busoli, aby nie stracić orientacji, nie zgubić się, iść za tokiem, za rzutami myśli autorki, nie wydawać sądu, rażącego swoją płytkością. Właśnie to społeczne nastawienie książki, ta otwarta bezwzględnie w odtwarzaniu życia może czasami budzić zastrzeżenia, razieć. Ale „Oblicze dnia” napewno na tym nie traci. Dobrze nawet, że w umówieniu tak drażliwego zagadnienia nie wprowadziła autorka pierwiastków komedjowo-rewijowych, nie poszła na ustępstwa dla czytelników i zrezygnowała z zamiaru łagodzenia w pięty i głaskania po karku zasiedziały snobów, których rozczuła nędza, słodząca oblana, bo ułatwia godzenie się z losem, dobre trawienie, cygaro i kurtki, café i dancing. A przecież takich rzeczy nie można się wyrzekać dla książki! Skądże! Pocz?

Nie zamierzam reformować świata, ani przybliżać swoich tez o odpuszczeniu. Nie chciała zapewne, a raczej napewno, dokonać czegoś podobnego i Wasilewska. Jej intencją pewnością nie było budzenie litości, najwstrętniejszego uczucia, jakie dla człowieka jest wogóle uzasadnione i co ona mu daje; czy koniecznym jest, by ktoś, który spokojnie pracować, musiał zajmować się rozliczeniami, narzucone mu przez państwo sprawy. Jaka jest wartość praktyczna czy ideowa różnych faszyzmów, hitleryzmów czy komunizmu — czemu honor osobisty człowieka tak łatwo stać się może pastwą różnych hien prasowych i innych; co jest powodem niebawale niskiego poziomu prasy i wszelkiej polemiki publicznej; co robić, by się to wszystko zmieniło... i dziesiątki innych na pozór prostych, a jednak istotnych pytań, na które trudno znaleźć zadowalającą odpowiedź. Autor nie rzuca pytań na próżno — próbuje odpowiedzieć na nie. Odpowiedzi są naiwne, nie przemyślane dostatecznie, powierzchniowe i banalne niejednokrotnie, ale zawsze wyczuwa się

plamiennego entuzjazmu, taka szalona ostrość, takie fanatyczne przywiązanie do wielu rzeczy, o których pisze.

„Jest to raczej zlepek reportaży i reportażyków z życia robotników, zlepek najzupełniej jednostronny, nastroszony na nutę komunistycznej ulotki propagandowej, podburzającej, pod hasłem: Budujemy świat wolnych ludzi. Autorka, wyszła z założenia, że wszyscy prócz robotników i ich rodzin, to szubrawcy, krwiopijcy, wyzyskiwacze”. „Kanalje, o których mówi autorka, istnieją niewątpliwie, ale przecież nie same kanalje, jak to p. Wasilewska chce wmówić w czytelnika”.

„Zaden ze spotkanych w powieści robotników nie odczuwa odrobiny radości z pracy”.

„Zapewne, autorka ma prawo przedstawić obrane zagadnienie, jak zechce,

wybrała tylko czarne plamy, stworzyła obraz bardzo subiektywnie jednostronny. My, czytelnicy nie lękamy się tej prawdy, nawet tak ujętej, spojrzcie otwarcie w oczy. Oczu zamykać nie możemy ani nie chcemy, nie miałyby to też najmniejszego sensu, bo ta nędza pcha się codziennie każdemu w oczy, i my wszyscy, którzy pracujemy i zarabiamy, każdy w miarę swych możliwości stara się bez deklamowania biec tej pomocy. Dlatego właśnie mamy prawo i obowiązek zaprzeczać energicznie przeciwko tak jednostronnie ujętemu obrazowi dzisiejszego społeczeństwa”.

W ten sposób surowo ocenił książkę Wasilewskiej i jej tendencje na łamach „ABC literacko-artystycznego” Alfred Jesionowski („Szkoda, że nie cała...”, 5 sierpnia 1934 r. Nr. 32. Rok III. Str. 1). Nie mogę podzielić tego zdania. Pozorny jej

przejaskrawiony subiektywizm i jednostronność wynikają konsekwentnie z założenia całości reportażu. Pokazać świat społeczny od dołu i oczyma dołu. Ktokolwiek zna życie masy ubogiej, to życie szare, posępne — zaszczone życie, wie, że ci ludzie mają własne kategorie myślenia, apriorycznie przyjęty punkt widzenia, że wszystko, że każdy jest przeciw nim. Stąd wypadają tak fałszywe skróty, sądy najdziwniejsze. Ukazywanie ich, to nie jest wywrotowa propaganda, ani podburzanie. Ogół, żyjący na gorze, poważny i spokojny, za mało wie, zupełnie nie zna życia dołu. I dlatego tak łatwo, rozgrzesza się w sumieniu swoim, że przecież ciągle

coś się daje, gdzieś się kwestuje, zbiera, pomaga biednym. I komunisty: zawsze będą i byli ubodzy, tego zmienić się nie da.

Tak. Człowiek głodny i spracowany widzi na wielkich ulicach miasta przez szyby kawiarni i szyby samochodów, w wejścia kin i teatrów, w gabiniecie dyrektora, w posiadaczu, w urzędniku, w księdzu, w nauczycielu — tylko świat kanaliż, łotrów, szubrawców i złodziei, tużących się jego pracą, krwią i potem. Dla niego niema hierarchii żadnej, nie może iść na segregowanie, nie chce zrozumieć, że przecież mogą się zdarzyć i zdarzają się, ale nie są samymi kanaliżami ludzie, którzy ponad nim stoją. W nędzy wszyst-

ko wydaje się inne, tam niema rozważania, działają impulsy, instynkty. Nędza jest zbyt wielka. Dozna krzywdą rzuca cię na wszystkich, nietylko na samego krzywdziela.

Jesionowski w swej recenzji z książki Wasilewskiej podkreślił, że wszystko zionie niechęcią, że nawet do osób obojętnych (np. zwiedzających fabrykę) ustosunkowanie jest wrocie, że zawsze pan, panicz, panienka, nauczyciel, dyrektor i t. d., budzą bez powodu wstręt i obrzydzenie u bohaterów „Oblicza dnia”. Wina zawsze jest po stronie tych pierwszych, oni nie mają żadnych uczuć ludzkich, zawsze krzywdzą, poniżają, poniewierają.

Tu znów trzeba sięgnąć do założenia książki. Wzmyślmy przykładowo: czy rady higieniczne i uwagi wychowawcze szkoły nie muszą budzić odruchów. Każą dziecku myć zęby, chodzić czysto, spać wezwicie, na białe zasłanem łóżeczku, w wywietrzonem pokoju, gniewają się za brak zeszytu, książki, ołówka, każą płacić dziesiątki składek. A teraz pomyślmy tylko, czy dziecko może mogąc poddać tym wskazaniom, stale karcone surowo, nie uświadamia sobie, że jest gdzieś nisko na dole, że pochodzi z innego świata, czy nie budzi się już w zaraniu życia poczucie krzywdy? Spać na łóżeczku, w wywietrzonem pokoju! Siedem, osiem osób w izbie, brudnej i dusznej. Barłóg gnijący, brak groza na chleb. Myć zęby szczoteczką i proszkiem, koniecznie proszkiem. Ponure, prawda? Z takich zlepek właśnie, z takich okrucieństw zbiera się świadomość krzywdy. Brak pracy, eksmisje, redukcje, licytacje — wszystko wali się na głowę Wasilewskiej w swych reportażach nie idzie za daleko. Nie jej wina, że stosunki, takie, jak rysuje, istnieją. Byłoby obłądą ukrywać je. „Wależmy o życie!” — wołają strajkujący mularze. Gną się, godzą i znoszą bez szemrania los słabsze wole, ale młodzi, silniejsi buntują się. Chęć żyć! „Boszwtyndie głodne oczy” bezrobotnych stają się złe i nienasycone, zaciskają się pięści i żądają. Jes! Żyć!

Świetne w książce Wasilewskiej są sceny rewizji, w lombardzie, strajku i wiele innych. Książka wzrusza. Społecznie uczy, tłumaczy, buduje, daje drogę do lepszego poznania, zrozumienia, dla wielu, co go nie znali i nie przeszli, tak egzotycznego, mimo bliskości, środowiska.

„Przełowa się świat bogactwem. Wszy stkiego, wszystkiego jest dosyć. Wagonami wali się w morze pszenicę. W ogniu palenisk rzuca wory kawy. Zakupu je w ziemie setki mlecznych krów. Spala w stosach stada kędzierzawych owiec. Bo wszystko, wszystkiego jest dosyć, zadużo, zanadto. Dusi się świat swoim bogactwem nędzy. syty świat. Zgaga go piecze i czkawka chwyta z nadmiaru jadła. Nadmiarem jada ceka w zapadłe oczy temu, który boso, przeświecając przez zdarte łachmany, nagiem ciałem, stoi na dole”. (str. 292).

Wszędzie skuty jest człowiek tem samym jarzmem. Misternie zagębia się ognio do ognio, pęta nieodwołalnie. Przypięta ku ziemi — by nawet nie spojrziała oczu w szeroki przestrzeń. Obmyślane jest wszystko do najdrobniejszych szczegółów, odmierzone każdy krok, człowieka — niewolnika”. (str. 293).

Książka Wasilewskiej to kładka nad otchłanią krzywdy i nędzy. Nie most na potężnych filarach, ale kładka. Jest w tej powieści wiele rzeczy, które interesują, każą myśleć. Jest i wiele, na które nie możemy się zgodzić.

Ktoś wypowiedział zdanie: że młodość szlachetna, uczeiwa, wierząca i czująca musi przejść przez rewolucję, przez bunt, by dać pełną wartość człowiekowi. Raczej tak. Takim odruchem szlachetnym jest książka „Oblicze dnia”.

Wiemy dobrze, że piekło, narysowane przez autorkę, nie istnieje na księżycu, ale na ziemi. Znany to piekło. Musi ono zniknąć. Ale inną drogą pójdzimy, niż bohater powieści — Ananiasz.

O książce Wasilewskiej możemy powiedzieć: jeżeli nie wszystko jest w niej przemyślane do głębi, to wszystko jest do głębi odczuwane. Przeczytać ją warto.

Alfred Jesionowski

„Ambicja szamotała się...”

Po pierwszych dwudziestu stronach ma się wrażenie, że p. Tadeusz Nowacki *) chciał dać parodię „poczytnych” autorów, więc czytelnik bawi się nienajgorzej tym pozbawionym wszelakiego sensu stylem porównań, jakich autor używa. Ale mina rzadnie w miarę dalszej lektury: to ma być powieść serio. Trzeba więc być zdecydowanym optymistą, by lekturę kończyć. A i optymiści wyrwie się wreszcie zbolaly okrzyk: Cóż to za grafoman, coż za wydawca, który wydał 452 takich stronice, dziś, kiedy niejednego uzdolnionego, ba, uznanego pisarza, znaleźć nie może nakłady, doczekać się nie może wydania swego utworu.

Czegoż w tej powieści niema! Jest kilka wątków erotycznych, jest nie społeczno-polityczna, są dyskusje na wszelkie możliwe tematy, są najświeższe aktualia i wspomnienia niedawnych aktualjów (Harriman, Żyrardów, Stawski, Hitler, Goebbels w Polsce, rozbudowa Gdyni). Są „młodzi z pałkami” i jest „upaństwowienie literatury i młodzieży”, są aluzje do naszego życia politycznego i znanych w tej dziedzinie osób, jest życie towarzyskie w Warszawie i na prowincji — jednym słowem cała współczesność polska i europejska. Wszystkie zagadnienia poddaje autor mniej lub więcej obszerniej krytyce. Oczywiście na to wszystko owa masa stronice ledwie starczy.

Skrzywdziłoby się jednak autora, przechodząc z lekceważącym uśmiechem do porządku dziennego nad tą nieudalą próbą stworzenia powieści idowej. Zagadnienia, które autor porusza, należą do najbardziej palących kwestii naszej doby. Nurtują one szczególnie młode pokolenie. Czy to być dzieło stonackie państwa do obywatela; pytanie, czy ingerencja państwa w tyle dziedzin codziennego życia człowieka jest wogóle uzasadniona i co ona mu daje; czy koniecznym jest, by ktoś, który spokojnie pracować, musiał zajmować się rozliczeniami, narzucone mu przez państwo sprawy. Jaka jest wartość praktyczna czy ideowa różnych faszyzmów, hitleryzmów czy komunizmu — czemu honor osobisty człowieka tak łatwo stać się może pastwą różnych hien prasowych i innych; co jest powodem niebawale niskiego poziomu prasy i wszelkiej polemiki publicznej; co robić, by się to wszystko zmieniło... i dziesiątki innych na pozór prostych, a jednak istotnych pytań, na które trudno znaleźć zadowalającą odpowiedź. Autor nie rzuca pytań na próżno — próbuje odpowiedzieć na nie. Odpowiedzi są naiwne, nie przemyślane dostatecznie, powierzchniowe i banalne niejednokrotnie, ale zawsze wyczuwa się

pragnienie autora znalezienia odpowiedzi możliwie zadowalającej lub uspakajającej. Błąd autora tkwi w wielkiej mierze w tem, że na dużą część pytań wogóle niepodobna odpowiedzieć wymijająco, trzeba stanąć albo na jakimś stanowisku naukowym albo ideowym, a nie uczuciowym, jak to ma miejsce u autora. Trzeba uczynić wybór — a uczyniwszy go, zgodzić się na nieuniknione słabe strony swego wyboru. (Subtelny znawca i badacz współczesnej literatury francuskiej, Daniel Rops, — próbował kilka lat temu również znaleźć odpowiedź na wiele dręczących dzisiejsze młode pokolenie pytań w swej ciekawej książce „Notre Inquietude” — i doszedł do wniosku, że rozwiązaniem wielu tych zagadnień tkwi w rozwiązaniu „Paraboli Krzyża”). Pan Nowacki za mało ma przygotowania teoretycznego i za mało doświadczenia życiowego (co z powieści wyraźnie wynika), by rozprawić przekonująco na te tematy. W każdym razie strona ideowa powieści zasługuje na to, by o książce p. Nowackiego wogóle mówiono.

Wśród poruszonych przez autora zagadnień, szczególnej uwagi warta jest kwestia życia erotycznego, jedyne zresztą zagadnienie, o którym autor nie tylko teoretycznie nie rozprawia, ale które wcielił próbuje w postaci swej powieści. Autor ukazuje nam rozmaite formy życia erotycznego, z których najciekawszą jest forma układu pomiędzy Tadeuszem i Marją. Małżeństwo to wychodzi z założenia, że domena uczuć i domena zmysłów mogą w małżeństwie istnieć niezależnie od siebie, że małżeństwo jest pełnowartościowe, jest „formą wyższego rzędu”, jeśli małżonkowie są tylko związani ze sobą uczuciem, chociażby żądze swych zmysłów zaspakajali poza małżeństwem. Marja bywa więc obiektywnym świadkiem wyczynów miłosnych swego męża na „obcym” terenie, mąż dzieli się swymi wrażeniami erotycznymi, swymi sukcesami u innych kobiet, Marja spokojnie wysłuchuje tych wynurzeń i cieszy się, że u obcych kobiet „tyle” tylko znajduje. Kiedy wśród takich rozmów nastąpi intymne zbliżenie się obojga małżonków, jest to dozna nie zmysłowe „wyższego” rzędu, miłość sublimowana, jedynie prawdziwa. Marja narazie z przysługujących jej przywilejów nie korzysta, starczy jej mąż i uczucie, że „mimo wszystko” jest wszystkim dla niego, i jak długo Marja nie próbuje zaspokajać swoich zmysłów poza małżeństwem — wszystko jest dobrze, ale kiedy

Marja po raz pierwszy mężowi opowiada swoją „przygodę”, zachodzi zmiana w poglądach Tadeusza na ten rodzaj małżeństwa. Wysłuchuje wynurzeń żony nie bez przykrości, ale lojalnie, nie czyni jej żadnych wyrzutów ani przykrych uwag. W ciągu rozmowy na ten temat uczucie przykrości staje się niezadowolaniem i ukrytą narazie zazdrością, która wreszcie swojej żonie, po innych jej „przygodach” wyznaje i gotów jest zrezygnować z szukania zaspokojenia swych zmysłów poza małżeństwem, o ile Marjaby się zgodziła na to samo. Tłumaczy żonie, że psychika mężczyzny nie jest przystosowana do liberalności pod tym względem, że obawia się komplikacji natury towarzyskiej, gdyż żona zdradzona wzbudza najwyżej współczucie w społeczeństwie, zdradzony zaś mąż staje się przedmiotem kpiny i nawet pogardy. Marja, uznając do pewnego stopnia objejeje męża, obiecuje nie afiszować się, ale ze swej swobody nie zamierza zrezygnować, uważając tę formę małżeństwa za jedyne kulturalną i uczciwą. Nie pozostaje więc Tadeuszowi nic innego, jak zrezygnować — prosi jedynie swą żonę, by mu o swych przygodach nie mówiła, na co się Marja z pewnym żalem zgadza... Autor nie rozwija tego stosunku dalej, polityka strusia przy zachowaniu „układu” wydaje mu się więc wyściem zupełnie zadowalającym i ta forma małżeństwa formą „wyższego rzędu”...

Zapuszczenie firanek wydaje się autorowi w wielu wypadkach jedynym wyjściem z trudnych sytuacji. Polemika z poglądami autora wymagałaby całej broszury lub zgoła tomu — zostawimy więc kwestię słuszności czy niesłuszności postawionych tez na boku, szczególnie wobec zupełnie widocznych niedomagań w rozumowaniu i rozwijaniu problemów przez autora, nieprzygotowanego do dyskusji zasadniczej na temat większych zagadnień. Nie mniej znać trzeba szlachetną i śmiałą ambicję autora ujęcia naszej współczesności od strony jej zagadnień ideowych.

Znacznie gorzej przedstawia się jej artystyczna strona. Konstrukcja powieści jest najprostszą możliwą: kolejno, bez wewnętrznego związku ze sobą zajmującej się autor poszczególnymi postaciami swej powieści. Psychologiczne ujęcie postaci jest także uproszczone do maksimum. P. Nowacki zadawała się opisem charakteru postaci, nie ukazuje ich nam w działaniu, prowadzi je na

sznurku i wszelką odpowiedzialność za ich wystąpienia, działania, myśli — bierze na siebie. Stąd postacie te są papierowe. Stąd wypływają różne inne poważne niedomagania artystyczne: naiwne zestawienie kontrastów, upraszczanie najzawilszych sytuacji, apodyktyczne i często niczem nieuzasadnione rozstrzygnięcia najbardziej skomplikowanych problemów psychicznych, przesada w ocenie zjawisk dodatnich i ujemnych. Autor stara się nie zajmować określonego stanowiska w wielu zupełnie zasadniczych kwestiach, dla wywołania wrażenia bezstronności, w rezultacie zaś jest to beznadzieja, wzgl. chęć dogodzenia wszystkim (liberalizm a la „Wiadomości Literackie”). Okropny jest styl: płaskie dowcipy, godne trzeciorzędnych knajp przedmioty, nieumiejętność posługiwania się obcymi wyrazami w wielu zupełnie zasadniczych kwestiach, dla wywołania wrażenia bezstronności, w rezultacie zaś jest to beznadzieja, wzgl. chęć dogodzenia wszystkim (liberalizm a la „Wiadomości Literackie”). Okropny jest styl: płaskie dowcipy, godne trzeciorzędnych knajp przedmioty, nieumiejętność posługiwania się obcymi wyrazami w wielu zupełnie zasadniczych kwestiach, dla wywołania wrażenia bezstronności, w rezultacie zaś jest to beznadzieja, wzgl. chęć dogodzenia wszystkim (liberalizm a la „Wiadomości Literackie”).

Tych parę kwiatków wyrwałem na chybił trafił, możnaby znaleźć smakowitsze kaski. Ale żart żartem: styl, od którego się niedo-brze robi, który o policję krzyczy. Młody romantyzm idzie w parze z przesadnym naturalizmem, zupełnie niezależnie od wymagań sytuacyjnych. Krótko, pod względem estetycznym nie przedstawia powieści p. Nowackiego kompletnie żadnej wartości. Autor będzie musiał solidnie popracować nad sobą, nim spróbuje wydać nową powieść. Najlepiej byłoby zabrać się ponownie do „Papierowych szyn”, oczyścić powieść z niepotrzebnego gadulstwa, technię życie w postaci, popracować nad stylem przez lekturę pierwszorzędnych stylistów, przestudjować słownik obcych wyrazów Arcta, studjować kwestje, które autor po amatorsku w swej powieści traktuje.

Refleksja końcowa: Dla debiutantów dobre nastaly czasy...

*) Wanda Wasilewska. Oblicze dnia. Warszawa 9134. „Rój”. Serja Nowa. Str. 313.

*) Tadeusz Nowacki: „Na papierowych szynach” Powieść. Warszawa, 1934. Str. 452. Wyd. J. Przeworskiego.



CZY NAD MORZE, CZY TEŻ W GÓRY
CHCESZ SIĘ UDAĆ NA LETNISKO,
NIE PRZERAŻA CIĘ ODLEGŁOŚĆ
S A M O L O T E M — WSZĘDZIE BLISKO!